Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.

CZERWONA RÓŻA

Nr. 11 (22) WARSZAWA, 1 LIPCA — 1939 R. ROK II (VII)

PRZED RADYKALNĄ ZMIANĄ METODY

KONFRONTACJA CELÓW I ŚRODKÓW

Życie wewnętrzne Polski weszło ostatnio w stadium pewnej stabilizacji. Przyczyniła się do tego z jednej strony kanikuła, a z drugiej — poważna sytuacja międzynarodowa. Jeśli jednak najbliższe miesiące (lub nawet tygodnie) nie przyniosą jakichś gwałtownych wstrząsów — trzeba liczyć się z tym, że jesienią sprawy wewnętrzno-polityczne wejdą znów na porządek dzienny.

Wiele okoliczności przemawia za tym, że aktualną stanie się wówczas kwestia poddania rewizji metod, stosowanych dotąd w polityce wewnętrznej. Jest bowiem rzeczą nieuniknioną, że musi nastąpić od czasu do czasu konfrontacja rzuconych haseł i ich oddźwięku, intencji i zrozumienia, akcji i reakcji, celów i środków, wyników i metod. Jeśli zaś się okaże, że pomiędzy tymi elementami nie wytworzyła się zamierzona harmonia — musi nastąpić nieubłaganie wprowadzenie mniej lub więcej istotnej korektywy.

W danym wypadku jest to tym bardziej konieczne, że istotą politycznej szkoły Piłsudskiego jest jej głęboki realizm, nie dopuszczający nigdy, ażeby to, co miało być tylko środkiem do pewnego celu, zostało uznane za cel sam w sobie.

P. CAT-MACKIEWICZ „ZDAJE OZON NA FON"

Sprawa zmiany kursu politycznego w Polsce jest utrzymywana w stanie aktualności z jednej strony przez stronnictwa opozycyjne, a z drugiej — przez szereg polityków, stojących na uboczu od prac Obozu Zjedn. Narodowego. P. red. Cat-Mackiewicz zamieścił niedawno w „Słowie" wileńskim artykuł p. t. „Czas już najwyższy zdać Ozon na FON", a niezależnie od tego udowadnia stale, że „najwalniejszym argumentem za likwidacją OZN jest jego zbędność".

W wielu środowiskach politycznych dają się słyszeć głosy, że w obliczu niebezpieczeństwa zewnętrznego nastąpiło już samorzutnie zjednoczenie się Polaków i że wobec tego żadna specjalna akcja konsolidacyjna nie jest potrzebna. Przy stolikach kawiarnianych opowiadane są anegdotki, jak to w pewnym mieście istniałaby stuprocentowa jedność i zgoda, „gdyby nie to, że istnieje tam Ozon, który zjednoczeniu przeszkadza".

Anegdoty te i artykuły cieszą się wielkim powodzeniem wśród bywalców kawiarnianych. Gdy ukazał się artykuł p. Cata-Mackiewicza — szereg osób trzymał się za boki ze śmiechu, z krzeseł zlatywał i kolek dostawał. Słychać było głosy, że ten Cat to byczy chłop, że udał mu się kapitalny dowcip, że ledwo facet z Berezy wylazł i z zobowiązania się zwolnił, a już taką szpilkę régime'owi potrafił wsadzić!

BEZKARNOŚĆ BREWERII A KONSOLIDACJA

Co do nas — nie było nam bynajmniej wesoło, gdyśmy słyszeli te dowcipy i śmiechy. Czuliśmy wielką chęć przytoczyć pod adresem pp. wesołków cytatę z „Rewizora": „Z czego się śmiejecie — z siebie się śmiejecie!". Było nam smutno, że poziom wyrobienia politycznego jest jeszcze u nas tak niski, że wielu wybitnych — w swoim mniemaniu — polityków tęskni i wzdycha do czegoś, co w pierwszym rzędzie musiałoby uderzyć w nich samych.

W rzeczy bowiem samej — przypuśćmy na chwilę, że opozycyjnym politykom udało się przekonać czynniki miarodajne, że zjednoczenie Narodu już nastąpiło i że wobec tego OZN jest niepotrzebny. Lecz w takim razie należałoby dojść do wniosku, że niepotrzebny jest również i łagodny kurs wobec opozycji, stosowany właśnie w celu ułatwienia akcji zjednoczeniowej. Dotychczas bowiem istniał taki stan rzeczy, że największe brewerie lub bezeceństwa mogły ujść płazem, jeśli tylko uważano, że surowe represje mogą utrudnić lub uniemożliwić dzieło zjednoczenia. Dość przypomnieć stan rzeczy na uczelniach lwowskich, gdzie eksterytorialny teren akademicki stał się widownią teroru i pospolitych zbrodni, a gdzie prawo zawahało się przed wyciągnięciem ostatecznych konsekwencyj, gdyż, — jak mówiono — przecież to młodzież narodowa, przecież my chcemy zjednoczenia, przecież oni kiedyś zrozumieją itp. A „młodzież narodowa" śmiała się sobie w żywe oczy i z tych nadziei i z tej tolerancji i z prawa i z przykazań Boskich, a nóż, łom i kastet hulały sobie nadal bezkarnie w przybytku wiedzy!

Otóż, trzeba stwierdzić wyraźnie, że likwidacja OZN byłaby jednocześnie likwidacją łagodnego kursu w polityce wewnętrznej. Byłoby to wkroczenie w okres bolesnego wyrównywania zaległych rachunków, których lista jest już teraz dostatecznie długa! My Piłsudczycy jesteśmy bowiem cierpliwi i dobrzy — ale do czasu! Możemy długo znosić docinki i drwinki, możemy długo stać z wyciągniętą

w próżni ręką, ale jak nam to się znudzi — to potrafimy wyrżnąć w kogo należy, jak w kaczy kuper i tak, że w niebie będzie słychać!

„DOBRE OZONOWE CZASY" CZYLI DELEGACJA OPOZYCJI W GISZ'u

Gdyby agitacja opozycyjnych polityków znalazła posłuch i gdyby Obóz został istotnie rozwiązany — z pewnością nie jeden z pośród nich wspominał by z rozczuleniem „dobre Ozonowe czasy"!

Wyobrażamy sobie doskonale, jak na ulicy Matejki krążyły by smętne grupy polityków z opozycji, wypatrując z utęsknieniem, czy nie zaświecą się znów okna na pierwszym i drugim piętrze nad Komendą Legionistów, czy nie zaczną znów schodzić się delegacje i czy w drzwiach nie ukaże się znowu energiczna i nordycka postać posła Żenczykowskiego.

Wyobrażamy sobie doskonale, jak to delegacja w składzie pp. Mackiewicza, Singera, Strońskiego i Niedziałkowskiego uda się na Zamek, do GISZ'u i do pałacu Namiestnikowskiego i jak złoży tam memoriał o konieczności reaktywowania OZN. Nie będą w tym memoriale podane, rzecz prosta, istotne motywy i pobudki autorów, ale ile tam znajdzie się słusznych zdań o tym, że zjednoczenie prawdziwe jeszcze się nie dokonało i nie dokona się samo, że trzeba je przygotować usilną pracą, że musi w tym celu istnieć specjalna organizacja, że obecna „jedność" PPS i Stron. Narodowgo jest fikcją itp.

Autorzy memoriału będą sobie zdawali niewątpliwie sprawę, że akcja zjednoczenia musi doprowadzić na dalszą metę do zaniku ich wpływów, jednakże doraźnie będzie oznaczała powrót do łagodnego kursu i ten wzgląd — jak nam się wydaje — przeważy.

BRYTANY I ALGEBRA

Zadajmy sobie teraz szczere pytanie: na czym polega istota sytuacji w Polsce? Czym jest naprawdę OZN? Jaka była jego geneza i jakie są jego cele?

Otóż, istotą sytuacji jest to, że obóz legionowy jak ponosił dotąd odpowiedzialność za Państwo, tak ponosi ją nadal i bynajmniej jej wyrzekać się nie myśli. Ta prosta prawda powinna być punktem wyjścia wszelkich realnych koncepcyj politycznych i pod tym względem nie należy mieć żadnych złudzeń!

Wyrzekać się zaś władzy i odpowiedzialności nie może on chociażby dlatego — że nie ma jej komu przekazać. Społeczeństwo polskie (poza obozem legionowym) jest dziś bowiem podzielone na dwa mniej więcej jednakowo silne, lecz wrogie w stosunku do siebie obozy — czyli, praktycznie biorąc, — dające w wyniku sumowania algebraicznego — zero. Jednym z zadań obozu legionowego jest dziś poprostu pilnowanie, ażeby nie skoczyli sobie wzajemnie do gardła zwolennicy „Frontu Ludowego" z przyległościami i zwolennicy „Państwa Narodowego", pieczętujący się mieczykiem i noszący jasne koszulki.

Dwa groźnie szczerzące ku sobie kły brytany i zapobiegliwy gospodarz, gotowy chlusnąć w razie potrzeby wiadrem wody w kłębowisko kłów, pazurów, piany, krwi i sierści — oto jeden z aspektów wewnętrznej sytuacji w Polsce.

To, że oba te brytany są z sytuacji jednakowo niezadowolone — nie zmienia wcale istoty rzeczy. Ponieważ równomierne zadowolenie wszystkich jest utopią („Jeszcze się taki nie urodził co by wszystkim dogodził") — idealnym stanem rzeczy staje się równomierne niezadowolenie wszystkich przeciwników. Kto wie, zresztą, czy nie na tym właśnie polega — mądrość rządzenia?

ARYTMETYKA I TESTAMENT

Obóz Legionowy w stosunku do stronnictw nie jest więc czynnikiem równorzędnym, ale — nadrzędnym.

Swojego prawa do rządzenia Polską nie czerpie on ani ze zgody swych przeciwników, ani z arytmetycznej większości, lecz wyłącznie ze swojej przeszłości, ze swoich czynów i ze swego sumienia. Jest on spadkobiercą prac i dorobku swojego Założyciela, jest stróżem Jego testamentu i to jest jego moralnym tytułem do rządzenia Państwem.

Żadne wobec tego powoływania się na wyniki wyborów samorządowych, żadne obliczenia, jaki procent głosów otrzymał w nich OZN, nie mają tu żadnego znaczenia. Nie istnieje żadne *iunctim* pomiędzy pytaniem, czy obóz Piłsudczyków ma nadal stać na straży honoru i interesów Państwa, a faktem, że OZN zdobył, powiedzmy, w Koziegłowach 4 mandaty, PPS — 5, a Str. Narodowe — 6. Zdaje się, że sprawę tę rozumieją bardzo dobrze politycy opozycyjni, tylko tak przez kokieterię udają naiwnych.

PAS TRANSMISYJNY I SYMBOL RÓWNOŚCI

Obóz Zjedn. Narodowego może być rozumiany jako pas transmisyjny od obozu legionowego do społeczeństwa. Obóz historyczny, posiadający jedynie w swoim rodzaju tytuły do rządzenia Państwem i faktycznie tym państwem rządzący, musi posiadać swój odpowiednik i swoje oparcie w społeczeństwie. Musi on posiadać odpowiednio mocny pas, łączący warsztaty pracy społecznej z kołem napędowym transmisji. Takim pasem był w swoim czasie Blok Bezpartyjny (niewiadomo dlaczego zlikwidowany) takim pasem — w skali znacznie szerszej — jest obecnie OZN. Nigdy bowiem ze strony obozu legionowego nie było powiedziane: *nunc dimitte!* Teraz odpuść Panie sługę swego w pokoju! Nigdy nie było powiedziane, że obóz ten porzuca władzę, że zostawia ją na ulicy i że rządzić będą odtąd ci, którzy zdobędą taką lub inną większość arytmetyczną.

Powiedziane było tylko, że obok nas, obok legionistów i peowiaków, mają stanąć inni i ciągnąć łańcuch jak równi z równymi. Widomym symbolem tej równości miał być i jest właśnie OZN. Powołanie do życia tego aparatu, nastawionego nie na konserwowanie, lecz na zacieranie różnic, na przekreślanie dawnych sporów i orientacji, na umożliwienie wczorajszym przeciwnikom realnej pracy przy warsztacie państwowym — było niewątpliwie aktem wielkoduszności i dobrej woli.

Jeśli ktoś tego wielkodusznego gestu nie zrozumiał — tym gorzej dla niego. Obóz legionowy może wówczas powiedzieć: wyciągaliśmy do was rękę, proponowaliśmy zgodę, chcieliśmy dopuścić do współudziału w rządach. Nie chcecie — nie trzeba! Kotek wam uszko lizał!

Jeśli zaś kto lubuje się w poezji klasycznej, — może odpowiedzieć wierszem jak owa szlachta w zaścianku dobrzyńskim:

„Bez was obejdziem się sami!
Niech żyje nasz Marszałek—
Maciek nad Maćkami"!

PRZEGRUPOWANIE PIŁSUDCZYKÓW

To, że wyciągnięta do opozycji ręka nie została przyjęta i zawisła w próżni — zdaje się nie ulegać dzisiaj żadnej wątpliwości. Nasuwa się wobec tego nie tylko konieczność radykalnej zmiany metod w polityce wewnętrznej, lecz również konieczność pewnych przegrupowań w obozie Piłsudczyków.

Na innym miejscu naszego pisma podajemy w trybie dyskusyjnym opinię o konieczności odbudowy integralnego i historycznego obozu Piłsudczyków.

Sprawa ta jest o tyle skomplikowana, że odbudowa taka musiałaby stanowić krok naprzód, ale nie wstecz. Nie można bowiem przekreślić tak doniosłego etapu, jakim było pierwsze — i jakże szczęśliwe! — sformułowanie ideologii Piłsudczyków w Deklaracji OZN. Nie można również nie przyznać, iż leżało w logice rzeczy odpadnięcie od obozu tych elementów, które odpaść powinny były zasadniczo już w 1930 roku, kiedy Marszałek wymierzył swój pierwszy cios w lewicę demo-liberalną. Do sprawy tej powrócimy jeszcze.

ISTNIENIE „LÓŻ NARODOWYCH" — STWIERDZONE!

Jedną z konsekwencji zmiany polityki wewnętrznej musiałaby być zmiana kursu w stosunku do Stronnictwa Narodowego i jego pochodnych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zbieżność teoretycznych założeń OZN i Narodowej Demokracji — nadrzędność interesów Narodu Polskiego — nie stanowi w najmniejszym stopniu czynnika ułatwiającego porozumienie. Istotę rzeczy jest tu bowiem specyficzna struktura Stronnictwa Narodowego i jego — kulisy.

Piszący te słowa zadał w swoim czasie na łamach jednego z codziennych (i dostatecznie oficjalnych) pism formalne zapytanie Stronnictwu Narodowemu: czy odpowiadają prawdzie rewelacje o istnieniu w jego łonie hierarchicznej tajnej organizacji, podzielonej na szereg lóż i opartej na wolnomularskim rytuale? Na publiczny apel, ażeby Stron. Narodowe zaprzeczyło temu — odpowiedź nie nastąpiła, wobec czego fakt ten można uważać za stwierdzony.

Otóż, jest rzeczą całkowicie jasną, że dopóki będzie istniała tego rodzaju Loża Narodowa, wtłaczająca w mózgi swoich członków przekonanie, że „naród — to my" i nastawiona na walkę z dziedzictwem Józefa Piłsudskiego — nie może być mowy o żadnym porozumieniu. Żadna zbieżność poglądów nic tu nie pomoże i wszelkie złudzenia w tej materii trzeba wyrzucić bezlitośnie na śmietnik.

LOŻA-MATKA „KOPERNIK", „ZWIĄZEK STRAŻY" I PRAWO

Zachodzi jednak pytanie: czy istnienie tego rodzaju tajnej organizacji nie jest sprzeczne z prawem? Pan minister Grabowski, jako Naczelny Prokurator Rzplitej mógłby tu sobie zadać pytanie: Skoro zostały zlikwidowane loże lewicowe, to dlaczego mają rozwijać się i kwitnąć loże prawicowe?

Skoro zlikwidowałem B'nei Brith, Old Fellow, lożę-matkę „Kopernik" i „Wolność Przywróconą" — to dlaczego mam oszczędzać „Orła Białego", „Związek Wielkiej Polski" i „Związek Straży"? Skoro uderzyłem pp. Wolffkego, Ponikiewskiego i innych, to dlaczego mam tolerować analogiczną działalność pp. Bieleckiego, Głąbińskiego, Rybarskiego i innych? Czy jedna jest sprawiedliwość w Państwie, czy kilka?

Gdybyż jeszcze te „loże narodowe" zasługiwały na jakąś szczególną tolerancję ze względu na swą działalność! Ale gdzież tam! Młodzież endecka, należąca do „Drużyn Chrobrego" — najniższego szczebla loży — jest awangardą Narodowej Demokracji w walce z régimem, jej nielegalne ulotki nie oszczędzają najwyższych dostojników państwowych, na terenie akademickim, który opanowała, panuje teror i naigrywanie się z Prawa, pod jej wpływem organizacje akademickie — na wezwanie Ministra! — nie chcą potępić nawet pospolitego zabójstwa!

Jakie więc przyczyny mogąć stać na przeszkodzie, ażeby Prawo nie mogło wkroczyć w całym majestacie na ten niedostępny dotąd dla niego teren? Dlaczego régime nie ma zastosować zasady, że „jak Kuba Bogu — tak Bóg Kubie"? Dlaczego ma się wiecznie podstawiać samemu siedzenie pod ciosy, a nie wziąć poprostu adwersarza na kolano i wyrżnąć mu dwadzieścia pięć w sempiternę? Czego się tu ceckać, czego się bać, na co czekać?

Tak mógłby sobie pomyśleć Naczelny Prokurator w Państwie...

NA NIC JESZCZE NIE JEST ZAPÓŹNO!

Nowy kurs, o którym mówiliśmy, nie obowiązuje dotąd w Państwie. Naszkicowaliśmy go w ogólnych zarysach, gdyż stanowiłby on logiczną konsekwencję tez opozycji o „zbędności OZN.". Chcielibyśmy wiedzieć, czy nad tymi konsekwencjami pomyśleli autorzy zacytowanych na wstępie kawiarnianych „kawałów"? Chcielibyśmy wiedzieć, czy to właśnie miał na myśli p. Cat-Mackiewicz, proponujący „zdać Ozon na FON"?

Stwierdzamy wyraźnie, że na akt pojednania i zgody nigdy nie jest zapóźno. Ręka wyciągnięta do zgody dotąd jeszcze cofnięta nie jest, a gołąbek pojednania dotąd jeszcze nie jest wezwany z powrotem do klatki. Na nic jeszcze nie jest zapóźno — wszystko jeszcze można odrobić.

Ale jeśli wielkoduszność i dobra wola nadal będą komentowane w sensie całkowicie opacznym i jeśli przepełni się wreszcie miara cierpliwości i tolerancji — to niech zainteresowani (i ewentualnie — poszkodowani!) mają pretensję tylko do siebie. Żeby potem nie było na nas!

Witold Ipohorski-Lenkiewicz

ŻYDOWSKIE DYWIZJE NA FRONT!

CZARNY LĄD NA BIAŁYM KONTYNENCIE.

Pewien cudzoziemiec, zwiedzający Polskę, wyznał na odjezdnym dziennikarzom, że najsilniejsze wrażenie zrobiło na nim... pewne żydowskie miasteczko. Takiego bowiem rezerwatu barbarzyństwa i zacofania w Europie środkowej nie spodziewał się znaleść. Widywał natomiast takie osiedla na terytorium... kolonialnym. Istotnie. W etnografii i urbanistyce polskiej, w niektórych wypadkach porównanie z Gambią czy Togo nasuwa się samo przez się. Polska nie posiada kolonii ani nie włada egzotycznymi plemionami, ale za to swój „czarny ląd" posiada już o kilka czy kilkanaście kilometrów od Warszawy, w Falenicy lub w Wyszkowie n/B.

„Ląd" ten, pomimo małej odległości posiada wszelkie cechy odrębności kolonialnej. Semickie miasteczka w otoczeniu mazowieckich wsi stanowią wobec nich taki mniej więcej kontrast, jak wyasfaltowana osada w głębi dorzecza Amazonki. Z tą tylko różnicą, że u nas wszystko jest akurat naodwrót. Wsie zamieszkuje biedny i pracowity lud tubylczy, posiadający jednak europejski folklor i... wygląd. W miasteczkach natomiast rządzi obcoplemienny, innojęzyczny klan, szczep innego kontynentu, innej rasy, innej kultury.

Szczep ten na naszym gruncie jest jak chora, egzotyczna roślina. Żydzi w małych miasteczkach stanowią element optycznie wprost wstrząsający swoją innością. Najbardziej koszmarne wizje małych miasteczek w powieściach Schulza czy Choromańskiego ustąpić muszą wobec... wizji lokalnej w jakimś Bełzu czy Zarwanicy. Zmora rzeczywistości jest tu nieraz daleko gorsza od karykatur semickich np. w „Pręgie-

rzu". Takiej rewii egzotycznych masek, obrzędów, strojów, głosów, imion i liter, takiego przeglądu tragicznej, kolonialnej wegetacji, estetyki i etyki, jak w Polsce, istotnie gdzie indziej w Europie spokać nie można.

I kto wie, czy nie to głównie sprawia, że Polak-filosemita należy u nas do rzadkości. Bo jeśli nie jest już otwartym (lub cichym) antysemitą, to na pewno jest judeofobem.

MURZYNI WARSZAWSCY I „CHATA WUJA TOMA".

„Murzyn warszawski" — to określenie ukute niegdyś przez semickiego pisarza, i — „czarny ląd" (określenie takiegoż pochodzenia) trafnie oddają ten bardzo drastyczny aspekt sprawy żydowskiej w Polsce. Nie znaczy to jednak, by sprawa ta była w czymkolwiek podobna do np. „kwestii kolorowej" w Libii lub belgijskim Kongo. Jakże gorzką okazała się bowiem dla nas ironia losu. To nie egzotyczni przybysze są murzynami w Polsce, (jak np. w Ameryce). Przeciwnie. To raczej miliony polskich chałupników są u nas — murzynami na służbie przybyszów, wraz ze wszystkimi skutkami tego stanu rzeczy. „Chata Wuja Toma" — ta książka mogłaby — bez przesady — znaleść dziś u nas autentyczne tło dla swojej treści, z tą tylko różnicą, że mniejszość żydowska przypominałaby tu nietyle — czarnych niewolników ile — ich handlarzy.

Trzeba stwierdzić z przykrością, że taki jest, niestety, istotny stan rzeczy. Nie posiadamy kolonii i nie możemy wykonywać w nich swego „prawa białego człowieka". A jedyni kolonialni przybysze, którzy przybyli do naszego kraju wraz z swoimi totemami i stylem, narzucili nam swoje „prawo Tory". Osiedla żydowskie w Polsce — to nie tereny lecz przedsiębiorstwa eksploatacji. Pomiędzy kacykiem w murzyńskiej wsi a kupcem w naszym miasteczku jest bowiem ta różnica, że jeden oddaje metropolii pot i krew swych poddanych, a drugi z tych cennych a cudzych składników — żyje. Przytem kolonie nie dostarczają metropolii specjalistów od: agitacji wywrotowej, paserstwa, handlu żywym towarem, oszustw, lichwy, spekulacji giełdowej, uchylania się od podatków, od wojska itp. itp. Zaopatrują ją natomiast w kawę i ryż, banany, bawełnę i cukier, z których cały smak i zysk przypada na użytek białych. U nas natomiast „biali" obejść się muszą tylko... smakiem.

TREFNA WEGETACJA NA MARGINESIE KOSZERU.

Tubylec kolonialny jest poza tym obywatelem trzeciej klasy. Nie ma prawa do szacunku i równości a musi często cierpieć maltretacje i poniżenie. Polska uchodzi wprawdzie w pewnych sferach za „kraj pogromów", ale prawdziwą martyrologię cierpią u nas w małych miasteczkach nie Żydzi, lecz — autochtoni.

Czują się oni bowiem tam nieraz gorzej, niż t. zw. „białe cienie" na australijskim brzegu. Żyć w rytualnym miasteczku, żyć niejako na jego marginesie, jakimś „trefnym" życiem, odpadkiem „koszeru", być skazanym na całkowitą niemal (bo nieraz i seksualną) symbiozę z ghettem, zaiste trudno o gorszą katorgę dla Polaka w — Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Położenie „mniejszości" polskiej w niektórych miasteczkach jest tak rozpaczliwie bezsilne, jej stosunek do otoczenia przepojony takim wstrętem a życie taką goryczą, że trzeba tym Polakom tylko najwyżej współczuć. W życiu gospodarczym, kulturalnym, rozrywkowym, w wszelkiej wolnej inicjatywie natrafiają oni właściwie tylko na... „numerus nullus".

W rytualnych miasteczkach nie ma dla nich miejsca. Właściwie są oni tam najzupełniej niepotrzebni. Jeden policjant, poczmistrz, burmistrz, czasem sędzia i starosta, kilku urzędników, trochę proletariatu oto nieraz cała „kolonia polska" w morzu innojęzycznego, obcoplemiennego żywiołu. Powtórzmy: dzieje się tak nie tylko na kresach, ale w sercu Mazowsza, w miasteczkach królewskich, gdzie Piastowie sprawowali sądy, gdzie każdy stary kamień krzyczy o polskości.

ZAMKNIĘTE GHETTO CZY BAZY OPERACYJNE?

Nazwijmy rzecz po imieniu. Rytualne miasteczka dzisiaj — to nie są wcale żadne zamknięte ghetta. To — operacyjne bazy dla ekspansji na większe miasta, na wieś i majątki ziemskie, na wielki przemysł, handel itd. Cóż więc dziwnego, że gniew, straszliwy gniew prowincji polskiej obraca się ku tej okupacji a nawet ku jej najdawniejszym winowajcom. Na prowincji dziś jeszcze słychać klątwy na ...Kazimierza Wielkiego, który wprawdzie zostawił Polskę murowaną ale sprowadził do niej Żydów, w następstwie czego dla Polaków pozostała nadal — drewniana.

Nie. Nasza „kolonialna" mniejszość w niczym — poza wyglądem własnym i swych osad — nie przypomina murzynów. W normalnych warunkach kolonialnych nie istnieje żadne „czarne niebezpieczeństwo". Czarni nie wykupują całych miast w metropolii, nie monopolizują handlu, nie kartelizują przemysłu, nie biją rekordów w przyroście naturalnym. Czarni nie sieją spustoszenia w wolnych zawodach, nie leczą białych, nie wyrywają im zębów, nie sprzedają lekarstw, nie udzielają porad prawnych. Czarni nie usiłują podbić metropolii kulturą swego totemu. Nie prowadzą paryskich teatrów i kin, nie kręcą filmów, nie drukują książek, nie wydają gazet, nie rządzą się w przybytkach wszystkich dziewięciu muz wraz z dziesiątą na dodatek. Co najwyżej produkują się z swoją „magią czarnych" — w nocnych lokalach.

A u nas?

SZOPENOWSKIE MAZURKI I CADYK Z BEŁZA.

U nas, wśród pól i wsi, które były natchnieniem dla szopenowskich mazurków, których „swojska nuta" jest kwintesencją polskości — roją się miasteczka, w których jedyną swojską nutą jest... płyta z żydowskim tangiem. Prowincja polska żyje po największej części na melodię: „Bełc, dy lyd mynes herz". Co więcej — „miasteczko Bełz" i Góra Kalwaria, Kazimierz i Złoczów itp. znane są szeroko i poza krajem, sława tych miast, jako rezydencji słynnych cadyków, dociera nawet często tam, gdzie głucho o reszcie Polski. Na Wallstreet czy 5-ej Avenue wzdycha się nieraz sentymentalnie do wspomnień dzieciństwa pod znakiem świec, cebuli i egipskiego zapalenia oczu w Polsce. W ten sposób kraj nasz zyskuje szeroką propagandę dla swych rodzimych miast. Zbyteczna stwierdzać, że Poznań czy nawet Warszawa często takiej sławy nie doznają.

CZARNI ŻYWIĄ I BRONIĄ...

Jesteśmy w tym zgodni z Żydami, że są oni narodowością, której w Polsce jest nie najlepiej, a z którą Polsce jest jak najgorzej. Na całej tej sprawie nie można — mimo najlepszych chęci — znaleść jednego jasnego punktu. Jakże więc inaczej jest z t. zw. „kwestią kolorową" na Zachodzie. Bo pomiędzy stosunkiem Żydów wobec Polski a np. Senegalczyków wobec Francji jest jeszcze jedna kapitalna różnica. Oto czarni nie tylko karmią, ale i — bronią. Bronią granic republiki przed najeźdźcą. I to nie byle jak. Oni właśnie stanowią to typowe „mięso armatnie", które rzuca się w pierwszy ogień. „Biała" krew jest bowiem wciąż jeszcze cenniejszą ,niż „kolorowa". Ale wobec tego, kto wie, czy kolorowy nie ma dzięki temu więcej praw do — kolorowego sztandaru Francji. Toteż nie dziw, że gdy pod Łukiem Triumfalnym defilują t. zw. wojska kolorowe, spływa ku nim cześć, podziw i honory całego Paryża.

OKAZJA DO SPŁACENIA DŁUGU WDZIĘCZNOŚCI.

A teraz pytanie. Czy w tym miejscu mniejszości naszej nie robi się trochę... żal? Bo przecież na zbytek sympatii z naszej strony narzekać ona nie może. Cóż... nadarza się doskonała okazja! Mniejszość żydowska mogłaby w niedalekiej już pewnie przyszłości wziąć na siebie zadania, które przyniosłyby na pewno wiele obustronnych korzyści. Za jednym zamachem mogłaby zwiększyć ten minimalny kapi-

tał szacunku, jakim cieszy się u nas. Dalej — mogłaby nareszcie spłacić ów olbrzymi dług, jaki od stuleci zaciągnęła wobec swej przybranej ojczyzny. Mogłaby wreszcie wziąć udział w ewentualnej zdobyczy, z której — kto wie — czy nie dałby się wykroić jakiś przyzwoity obszar pod nowy „Erec Izrael", zwłaszcza gdy chodzi o tereny kolonialne. A tym samym mogłaby wpłynąć sama na radykalne zmniejszenie swej ilości w Polsce.

Trzeba też pamiętać, że gdy giną najlepsi, którym ubi patria, ibi bene, cóż mają czynić ci, którzy traktują rzecz na odwrót? Rzecz prosta, gdy przemówi w nich głos honoru, winni składać daninę krwi w trójnasób i w czwórnasób.

Żydzi do tej daniny są w Polsce z prawa dopuszczeni. A zarazem ich profit z naszej ojczyzny jest kilkakrotnie większy niż nasz. Pragniemy przeto wyrazić przekonanie, że powinni wziąć w niej udział ponad wszelką normę, w najwyższym ochotniczym wymiarze. Jak to uczynić — to już ich sprawa. Niech się w tej materii poradzą cieniów swego wielkiego przodka płk. Berka Joselewicza. Jesteśmy przekonani, że na „świętą wojnę" z wrogiem Izraela nie zabrakłoby na pewno kwiatu młodzieży żydowskiej, nie zabrakłoby ofiar, bohaterstwa i poświęcenia. Pół miliona złotych polskich na F. O. N.? Nie — pół miliona żydowskich wojowników, wyekwipowanych i uzbrojonych na ten cel, oto jest ofiara godna starego narodu, któryby ich krwią mógł użyźnić swą glebę duchową pod dalsze, jaśniejsze dzieje. Któryby z bronią w ręku, na polu walki mógł szukać swej nowej ziemi obiecanej w przymierzu z nami, przy naszej pełnej zapału pomocy.

Kto wie, może taki dopiero wstrząs skierowałby wreszcie tragiczny naród żydowski na drogę normalnego rozwoju i pracy bez cudzej nienawiści, krzywdy i goryczy.

Bolesław Wasylewski

REFLEKSJE I UWAGI

CODZIENNIE DANZIG!

Sprawy gdańskie zaczynają przybierać ostatnio obrót wcale interesujący. Jeszcze stosunkowo niedawno nie przypuszczaliśmy, że będziemy świadkami tak ciekawego widowiska i takiego — powiedzmy — automatyzmu.

Proszę bowiem samym osądzić. Przyjeżdża sobie np. pewnego dnia z Niemiec do Gdańska większa partia „turystów". Kilkaset sztuk, albo i więcej, chłop w chłopa, bez żadnych walizek, bez żadnych „Frauen und Kinder". Chodzi to sobie po mieście środkiem ulicy i odbija miarowo takt obcasami.

A tego samego dnia z pociągów zaczynają wysypywać się większe gromady turystów z Polski. Tak samo bez żon i bez dzieci — no bo po co ma się płeć słaba narażać na niespokojnym terenie? Chodzą sobie owi miłośnicy krajoznawstwa po Gdańsku, oglądają Arthushof, popijają piwko na Joppengasse — i bacznie przyglądają się swoim wschodniopruskim kolegom.

A tamtym to jakoś nie bardzo w smak idzie, kręcą się, łypią oczami na prawo i na lewo, a po paru dniach — jazda z powrotem! A wówczas i turyści z Polski dochodzą do wniosku, że już dostatecznie zwiedzili gdańskie zabytki i że wobec tego pora do Ojczyzny miłej.

Albo znów taki fakt. Wystosowuje sobie t. zw. Senat Gdański pismo do Rządu Polskiego, że jego zdaniem polskich inspektorów celnych jest w Gdańsku za dużo i że tego rodzaju stan rzeczy nie może być tolerowany. A Rząd Polski odpowiada uprzejmie, że owszem, zgoda, że stan taki nie może być istotnie tolerowany, i że wobec tego — powiększy liczbę inspektorów w Gdańsku. I rzeczywiście — za parę dni jedzie tam nowa partia polskich celników, a wszystko chłopy na schwał, bokserzy ciężkiej wagi!

Bywa też i tak, że w grę wchodzą bardzo poważne osobistości i bardzo poważne cyfry — tonn wyporności. Przyjeżdża sobie np. do Gdańska na gościnne występy p. minister Goebbels, wielkie afisze zapowiadają popis — monstre w teatrze miejskim czy też w cyrku — a jednocześnie „wtajemniczeni" podają z ucha do ucha wiadomość, że tego samego dnia wpłynie do portu gdańskiego krążownik „Koenisberg".

Ciekawi gdańszczanie włażą sobie co na najwyższe dachy i lornetują zawzięcie w stronę zatoki — aliści „Koenigsberga" ani słuchu ani duchu a po zatoce gdańskiej pływa sobie tam i z powrotem polska flota wojenna bo to i pogoda jest piękna, no i — bądź co bądź — polskie wody terytorialne...

I tak sobie mija godzina za godziną, mija dzień i drugi, a krążownika niema i niema. Widocznie — odechciało się...

RETORYKA I INWESTYCJE

Bywają też i innego rodzaju atrakcje. Pan minister Goebbels roztoczył np. ze sceny teatru miejskiego czar wymowy, tłumacząc gdańszczanom, że Führer o nich nie zapomniał, że nie zwykł się cofać, że nie rzuca słów na wiatr i że Gdańsk już wkrótce odejdzie do Rzeszy.

A Rząd Polski na to tak łagodnie, z perswazją: „Cacy, cacy — odejdzie, koci-koci łapki, wszystko będzie dobrze", — i ogłasza komunikat, że ma zamiar zainwestować poważne sumy w rozbudowę portu gdańskiego! Tego samego portu, który ma rzekomo już, już odejść do Rzeszy, no bo przecież Führer nie może się cofać! Komunikat PAT'a podaje całkiem wyraźnie:

„Dyrektor departamentu morskiego min. przemysłu i handlu inż. Możdżeński przeprowadził inspekcję robót inwestycyjnych, prowadzonych obecnie w porcie gdańskim. Omówił on przytem szczegółowo i ustalił plan dodatkowych inwestycji w porcie gdańskim. Roboty te są niezbędne, ponieważ zdolność przeładowcza portu gdańskiego, pomimo poważnej rozbudowy jego urządzeń w roku ub., okazuje się już teraz niewystarczająca w związku ze stałym znacznym wzrostem przeładunku, zwłaszcza w ostatnich miesiącach br.".

No i powiedźcie Państwo, czy nie warto żyć?...

BAJECZKA O ROZBRYKANYM SAMOCHODZIE I WYNIOSŁEJ LATARNI

A propos tego cofania się, o którym mówił p. min. Goebbels, przypomina się słynne określenie premiera Chamberlaina, że dyktator jest jak samochód, który nie ma tylnego biegu — i dlatego nie może się cofać. Możnaby na ten temat ułożyć wcale ciekawą bajeczkę dla dzieci, jak to niegrzeczny i rozbrykany Samochód wpadł na wyniosłą i spokojną Latarnię. Bajeczka zaczynałby się od tego, jak to Samochód wyrżnął z całego rozmachu chłodnicą w Latarnię i jak musiał się zatrzymać, trzęsąc się cały ze złości. Nie pomogło groźne warczenie motoru, strzelanie z karburatora i wypuszczanie obłoków dymu. Samochód trząsł się, dygotał, warczał, pienił się, napierał — a Latarnia stała sobie nadal spokojnie.

Wówczas Samochód zmienił taktykę i wdał się w pertraktacje dyplomatyczne. „Szanowna Pani — rzekł siląc się na układność — niech Pani zrozumie, że ja nie mam tylnego biegu i nie mogę się cofać. Niechże się Pani zechce łaskawie wywrócić, ażebym mógł pojechać dalej".

A dalej to by poszło mniej więcej wierszem: A na to Latarnię pasja ogarnie: „Panie Samochód! To pański kłopot! Nie masz Pan biegu? — Mnie nic do tego! Na groźne miny — szkoda benzyny! Nie możesz iść nazad? To porzuć Pan hazard! Bo w ślepej ulicy da kto po chłodnicy!".

NAS NIE ZGNĘBIĄ MAJERY, SKAŁŁONY...

Opinia zachodnio europejska daje od czasu do czasu wyraz swojemu uznaniu dla spokoju, odwagi i opanowania Polski. W niektórych wypadkach uznanie to przeradza się w niekłamane zdumienie i podziw. Obrosłym w sadło mieszczuchom i rentierom nie może się w głowie pomieścić, że można nie bać się Niemców, będąc od nich słabszym liczebnie i że w atmosferze niebezpieczeństwa można się oddawać spokojnie swoim zajęciom.

Niewątpliwie — podziw i uznanie jest rzeczą b. pożądaną, trzeba jednak stwierdzić, że w danym wypadku wypływają one w znacznej mierze z nieznajomości Polaków i ich historii. Gdyby europejscy politycy i publicyści orientowali się lepiej w naszych dziejach, wiedzieliby, że walka (i to zwycięska!) z silniejszym nieprzyjacielem jest dla nas regułą, a nie wyjątkiem. Wiedzieliby, że Polak przyzwyczaił się żyć w stanie czujności i pogotowia i że rzeczą niezwykłą byłby dla nas dopiero taki stan rzeczy, przy którym nikt by nam nie zagrażał lub że nasi nieprzyjaciele byliby od nas słabsi.

Dzieje ostatnich walk o niepodległość dostarczyły również wymownych dowodów, że liczebna przewaga wroga nie zdoła w najmniejszym stopniu zastraszyć Polaków i zahamować ich akcji. Gdy do boju występo-

wały w 1914 roku milionowe armie — Józef Piłsudski wyruszył w pole z kilkuset strzelcami, zbrojnymi w muzealne jednostrzałowe „Werndle” i w ostatecznym wyniku — wygrał!

I dlatego tak niepoważne i śmieszne wydają się nam obawy naszych zatroskanych przyjaciół, czy aby wytrzymamy nerwowo, czy nie załamiemy się, czy nie zgnębi nas psychicznie potęga germańska?

Wydaje się nam, że przyjaciele nasi pozbyliby się rychło swych obaw, gdyby znali chociażby dzieje walk rewolucyjnych 1905-6 roku, gdy rzesze ludu warszawskiego szły śmiało przeciwko watahom wołyńców i czerkiesów i gdy nad bezbronnym prawie tłumem huczały dumne słowa Marsylianki Robotniczej:

„Nas nie zgnębią Majery, Skałłony,
Choć za rzezią wyprawią nam rzeź!”...

ZALI DIABLI BĘDĄ W TEJ ZASADZCE, CZY LUDZIE?

Propaganda niemiecka, działająca za pomocą rozmaitych sztuczek i naciskająca najbardziej nieoczekiwane kontakty — stara się zastraszyć opinię światową rewelacjami o sile zbrojnej Niemiec. Czy kto chce czy nie chce — opowiada mu się, jakie to maszyny bojowe posiadają Niemcy, jaki precyzyjny sprzęt wojenny, jakie aparaty!

Gdy spotykamy się z tego rodzaju chwytami, przypomina się nam scena z „Potopu”, gdy jeden z dowódców oddziału szwedzkiego — Sweno, widząc zbliżającą się jazdę polską, woła: „Wasza Dostojność! To zasadzka! Wracajmy”! Na co owa Dostojność odpowiedziała filozoficznie: „Zali diabli będą w tej zasadzce, czy ludzie”?

Gdy więc słyszmy o owych nadzwyczajnych maszynach niemieckich, o tych wszystkich czołgach, bombowcach i myśliwcach, bierze nas chęć zapytać: „Zali diabli będą w tych maszynach, czy ludzie?”.

Bo jeśli ludzie — to damy sobie radę!

MUSSOLINI, KS. BISKUP KRASICKI I PANI RAJEWSKA

Dużo osób wciąż jeszcze zadaje sobie pytanie: jaki właściwie interes miał Duce, wiążąc się z Hitlerem? Gdyby nawet przypuścić, że spółka Rzym — Berlin pobije świat cały — to sytuacja Ducego, pozostawionego sam na sam ze zwycięskim Führerem, nie byłaby do pozazdroszczenia. „Bo to dwóch orłów, panie, razem się nie gnieździ! Łaska pańska, hetmanie, na pstrym koniu jeździ”...

Wytłumaczenie zdaje się być bardzo proste. Duce popełnił błąd, wysuwając swoje żądania wobec Francji i przypuszczając, że dadzą się one załatwić dotychczasową metodą. A gdy się okazało, że ową dotychczasową, „sudecką” metodą nic już uzyskać się nie da — pozostawał tylko sojusz wojskowy w celu zemsty nad światem, gdyż dyktator nie może się cofać.

Błąd zaś w budowaniu planów włoskich na „sudeckiej” metodzie polegał poprostu na tym, że wielki Duce zapomniał poprostu o starym przysłowiu, w którym jest mowa o wodzie, o uchu i o dzbanie. O prawdzie, zawartej w tym przysłowiu, pamiętał dobrze ks. biskup Krasicki, kiedy to, zaczepiony na obiedzie czwartkowym przez panią Rajewską z Rajec, wyrżnął jej coram publico:

„Dopóty dzban wodę nosi — póki się ucho nie urwie!
Pozwól, Miłościwy Panie, odpowiem tej... kurtyzanie!”.

Ale ta prawda, jak widać, przestała już docierać do wyżyn cezariańskich. A ucho się, niestety, urwało, urwało, urwało...

wil.

MIT O POTĘDZE BRYTYJSKIEGO IZRAELA

Ulubiony argument Trzeciej Rzeszy przeciwko Anglii i Stanom Zjednoczonym, to ich rzekome zaprzedanie interesom żydowskim. Być może jeśli chodzi o Amerykę, zarzut nie jest całkowicie pozbawiony podstaw, lecz sprawa przedstawia się inaczej w Wielkiej Brytanii.

Obok Hitlera najgorliwszymi propagatorami legendy o potężnych wpływach żydowskich w Anglii są sami Żydzi, którzy w pełni oceniają możliwości dyskontowania poza Wielką Brytanią owej reputacji wszechwładnych panów City, panującej skolei nad polityką całego Imperium.

Jak wielkie są istotnie wpływy żydowskie w Anglii i jaka jest rola odegrywana przez Żydów w tym kraju?

Przykład Disraeli'ego, w nowszych zaś czasach Hore Belishy, cytowany bywa często przez obrońców tezy o szerokich wpływach żydowskich. Niewątpliwie pochodzenie uważane jest w Anglii za rzecz stosunkowo drugorzędną, z wyłączeniem jednak ras innych jak biała. Trzeba jednak dodać pewną korektywę — o ile pochodzenie samo przez się nie odegrywa dużej roli, o tyle wychowanie i środowisko w jakim wyrósł człowiek odegrywa rolę ważniejszą może niż w jakimkolwiek innym kraju. Jak wiadomo Anglia rządzona jest dotychczas przez szczupłą stosunkowo liczebnie kastę wychowanków kilku szkół arystokratycznych oraz Cambridge i Oxfordu.

Oczywiście dostęp do szkół tych oraz uniwersytetów nie jest zamknięty dla Żydów, jeśli posiadają oni inne kwalifikacje społeczne, przede wszystkim zaś majątkowe, wymagane w tych wypadkach. Zarówno Disraeli jak i Hore Belisha przeszli przez wymagane etapy wychowania angielskiego, ale nie bez tysięcy drobnych upokorzeń i przykrości, jakich nie szczędzili im anglosascy koledzy. Pozycja Żyda w angielskiej szkole lub uniwersytecie nie jest tak różową jak pragnęliby to nam wmówić przeciwnicy tendencyj antysemickich wśród naszej młodzieży.

Zapewne, nie ma mowy o gwałtach fizycznych, choć w szkołach średnich angielskich chłopcy tęgo się biją i niewątpliwie najwięcej dostają w skórę właśnie Żydzi. Jest to zresztą objaw nie mający nic wspólnego z polityką, lecz świadczący, iż mimo wszystko świadomość odrębności rasowej istnieje.

Udział żydów w życiu finansowym, gospodarczym, kulturalnym i społecznym jest w Anglii bez żadnego porównania mniejszy niż w Polsce. Poza bankiem Rotszylda nie ma właściwie wielkich instytucyj finansowych znajdujących się wyłącznie w rękach żydowskich. Z pośród grupy potężnych lordów prasy, trzymających w swoich rękach opinję publiczną, jest tylko jeden wyraźnie związany z żydostwem, z drugiej strony kilku niezależnych od żydów oraz jeden nastrojony nawet antysemicko. Jedynie dziedzina filmu jest rzeczywiście opanowana przez naród wybrany, lecz dzieje się to na całym świecie.

Niewątpliwie wpływy żydów w Anglji są znacznie większe niż wynikałoby to z ich udziału procentowego w cyfrze ludności, który wynosi drobny ułamek procentu. Jeśli przyjmiemy iż 0,3% żydów w Anglji rozporządza rolą w życiu gospodarczem i politycznem odpowiadającą stosunkowi naprzykład 5 — 10% całości, to z jednej strony uwydatnia się istotnie nieproporcjonalnie duży w stosunku do ich ilości wpływ żydów, z drugiej zaś strony fakt — iż jednak około 94% wpływów nie jest w ich ręku.

Conajmniej więc dziwnem może się wydać, iż dotychczas wielu ludzi na kontynencie ocenia tak wysoko znaczenie Żydów w Anglji, iż uważają nawet za wskazane posługiwać się ich pośrednictwem w stosunku z Anglikami, przypuszczając iż pochodzenie ich może być w tym wypadku ułatwieniem.

Pogląd ten jest z gruntu mylny, bowiem potępienie przez Anglików zoologicznego antysemityzmu i barbarzyństw niemieckich wcale jeszcze nie dowodzi, aby byli oni rzeczywistymi filosemitami. Świadczy o tem zresztą dobitnie polityka brytyjska w Palestynie, oraz daleko posunięta ostrożność w wpuszczaniu do Anglji emigrantów wygnanych z Niemiec przez nowy régime.

Jeśli chodzi o stosunki czysto handlowe, ograniczające się do sfery określanej jako „business", która ogarnia szeroki zakres interesów jakie mogą ludzi łączyć między sobą — pochodzenie żydowskie, czy też jakiekolwiek inne, nie stanowi w Anglji najmniejszej przeszkody — ale też nie jest specjalnym atutem. Poprostu kwestja pochodzenia rasowego partnera lub kontrahenta nie jest brana pod uwagę. Natomiast wszędzie gdzie stosunek nabiera częściowo chociażby charakteru towarzyskiego lub prywatnego, pochodzenie niearyjskie staje się wyraźnym balastem.

Tradycjonalni Anglicy przywiązują do dziś jeszcze ogromne znaczenie do różnych najbłahszych napozór imponderabiliów w kwalifikowaniu ludzi na gentleman'ów lub nie-gentlemanów. Staroświecki ten podział odegrywa wciąż jeszcze olbrzymią rolę w układzie stosunków w Anglji, decydując o zakresie możliwości człowieka. Przesadą byłoby powiedzieć, że pochodzenie semickie stanowi w oczach Anglika kategoryczną dyskwalifikację w tej dziedzinie, lecz niewątpliwie jest ono poważną bardzo przeszkodą, którą przesadzić potrafią nieliczne tylko wśród żydów jednostki, te mianowicie — powiedzmy otwarcie — które najdalej odeszły od swego typu rasowego.

Ciekawe światło na istotną pozycję żydów w Anglji może rzucić zdanie wybitnego pisarza angielskiego, pochodzenia żydowskiego, Louis'a Goldinga. Pisze on w swojem dziele pt. „The Jewish Question" wydanem w 1939 r.: „Anglja stała się dzisiaj bardziej czułą na żydowstwo niż była kiedykolwiek od czasu Wygnania w r. 1290". Dalej opisuje on aktywność propagandy antysemickiej w Anglji oraz jej daleko sięgające skutki: „Nawet umysły farmerów i wieśniaków we wszystkich częściach kraju, którzy być może nigdy nie widzieli Żyda, zatruwane są systematyczną antyżydowską propagandę, np. na temat iż żydowskie koncerny sklepów detalicznych grożą ruiną rolnictwu brytyjskiemu".

Sięgając w inne sfery, Golding pisze iż: „Nieraz na wytwornych obiadach w Mayfair (arystokratyczna dzielnica Londynu) rozmowa zręcznie sprowadzana bywa na „Kwestję Żydowską", przyczym któryś z wybitniejszych gości tłumaczy dlaczego przykład niemiecki zasługuje na naśladowanie. Zaś przed wyjściem, goście otrzymują książki propagandowe, naturalnie z „Protokułami Mędrców Sjonu" na czele. Szereg innych faktów cytowanych przez Louis Goldinga w jego książce zdaje się świadczyć o poważnem nasileniu tendencyj antysemickich w Anglii, które musiało osiągnąć znaczny stopień, jeśli poważny pisarz tej miary co autor „Magnolia Street" uważał za konieczne uderzyć na alarm w obronie swych współwyznawców.

W każdymbądź razie legendy o olbrzymich wpływach żydowskich w Anglji, szerzone z jednej strony przez ministra Goebbelsa jako argument antyangielski, z drugiej zaś strony przez polskich i innych Żydów jako argument za liberalizmem w stosunku do nich, uważać należy za conajmniej grubo przesadzone, w każdym zaś razie wybitnie tendencyjne.

Jak zaznaczyłem jednak na wstępie, sytuacja w Stanach Zjednoczonych przedstawia się inaczej, stanowiąc zupełnie odrębny problem, wymagający osobnego omówienia.

Tadeusz Lutosławski

ZA I PRZECIW

Piłsudczycy, naprzód!

(Artykuł niniejszy Redakcja zamieszcza jako dyskusyjny)

Jak widzowie w gigantycznym amfiteatrze narody świata wstrzymały oddech i wśród ciszy, naładowanej niepokojem, spoglądają na arenę, gdzie prężą się do skoku dwaj potężni zapaśnicy, jak dwa głodne, spragnione krwi wilki. Za chwilę, być może, ofiara pierwszego ciosu zostanie upatrzona. Runą śmiercionośne razy. I po żółtym piasku pocznie się tarzać kłębowisko zaciekle walczących ciał, wzbiją się ku niebu wrzaski triumfu i cierpienia, arenę ubroczy czerwień...

Oto obraz dnia dzisiejszego. Nie jakiejś tam odległej przyszłości, lecz tego, co może się stać rzeczywistością już za miesiąc, za tydzień, za godzinę...

Żyjemy i pracujemy w nerwowej i ciężkiej atmosferze upalnego lata, nasłuchując grzmotów nadciągającej nawałnicy.

Stawiliśmy już czoło pierwszemu podmuchowi zbliżającej się burzy. Zdecydowanie i stanowczo. Germański zapaśnik zawahał się, stanął w miejscu i bacznie spode łba nas obserwuje. Zapewne mierzy naszą siłę, zwartość i odporność. Czyni tak nie bez powodu. Może liczy na to, że zawiodą wewnętrzne siły Polski. A może i na to, że zbraknie nam wytrwania, osłabnie konsekwencja, zwiotczeją mięśnie.

W przełomowej bowiem dla Narodu i Państwa chwili zamilkły spory między Polakami, zwarły się szeregi wokół sztandarów Armii i zjednoczyło się wola w decyzji: Honoru tknąć nie damy!

Wróg wie jednak, że życie ma swe nieubłagane prawa. Nie sposób jest zawiesić na kołku na miesiące i lata biegu normalnych procesów społecznych i politycznych, nie sposób zahamować ewolucję układu sił i ruchu tych czynników w Państwie, które decydują o jego równowadze i sprawności.

Dlatego właśnie dziś, kiedy języki ognia poczynają osmalać węgły ojczystego domostwa, właśnie dziś najwyższy jest czas wyjaśnić sobie wielką prawdę o współczesnej Polsce. Właśnie dzisiaj trzeba dać odpowiedź na pytanie, jaka załoga zdolna jest przeprowadzić bezpiecznie nawę państwową przez piekielny taniec rozpętanych żywiołów?

Trzeba zadać sobie pytanie, czy nie czas już najwyższy zmienić metodę i nazwać rzeczy po imieniu?

Trzeba bowiem prawdzie twardo spojrzeć w twarz. Wyciągnięta przez Piłsudczyków do opozycji ręka zawisła w próżni. Nie pokwapiono się o realizację zjednoczenia ani ze strony Stronnictwa Narodowego czy O. N. R., ani też ze strony P. P. S. Zbagatelizowano rzetelną initcjatywę współpracy, wzruszono ramionami na wymowne przestrogi i wskazania czynników najwyższych.

I dlatego wydaje się, że dotychczasowe koncepcje i metody pracy dziś już nie wystarczają. Z wyjątkowej sytuacji międzynarodowej, w jakiej się Polska znalazła nie przelotnie, ale prawdopodobnie na długi okres czasu, jak również z faktu negatywnego stanowiska opozycji politycznej, trzeba wyciągnąć zasadnicze i pełne konsekwencje.

Nie wolno żywić złudzeń. Chcemy i musimy przetrwać czas dziejowej zawieruchy. I nie tylko przetrwać. Musimy wygrać dla Polski każdą sytuację międzynarodową i zwyciężyć w spodziewanej wojnie. Jaki jednak zespół ludzki ma ponosić pełną odpowiedzialność za pomyślny wynik tej walki?

Niema pod tym względem dla nas żadnej wątpliwości: poprzez wichry i rafy światowej nawałnicy przeprowadzi bezpiecznie Polskę jedynie obóz Piłsudczyków. Ten, który już zdawał parokrotnie egzamin hartu i mocy.

Nie dla władzy, bo ona niejednego do cna już znużyła.

Nie dla chwały, bo tej chwały zdobytej na polach bitew Historia tym ludziom nie może już ująć. I nie dla grosza, bo spokojna emerytura i dochodowa posada prywatna bardziej się dziś może uśmiechać, aniżeli zgryzoty i wątpliwej wartości blaski publicznego dygnitarstwa.

Zwyczajnie i poprostu z rozkazu sumienia, w poczuciu odpowiedzialności za dzieło Józefa Piłsudskiego. Czas więc już nastał powiedzieć: dość ślimaczenia się w kompromisach, paktach, reweransach i koniunkturze! Nie chciano gadać z nami, nie gadajmy i my z nikim. Sądzone widać nam raz jeszcze zagwarantować salus Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Historyczny i integralny obóz Piłsudskiego musi być reaktywowany możliwie szybko! Muszą być precz rzucone wszelkie wzajemne rekryminacje. Na ołtarzu Najwyższego Dobra trzeba złożyć wszystko co bolało i boli. Obóz Piłsudskiego ma się odrodzić poto, aby raz jeszcze zapisać na własną odpowiedzialność dumną kartę Historii.

W sprawie tej niema nic do uzgadniania. Program jest równie wielki, jak zwięzły: zewrzeć szeregi przy Naczelnym Wodzu, przygotować do boju Państwo z wiarą w ostateczne zwycięstwo, zapewnić ciągłość i siłę władzy wykonawczej, dać po palcach każdemu, ktoby próbował przeszkadzać.

Gdy już przeprowadzimy okręt Rzeczypospolitej przez wiry najbliższej przyszłości i zakotwiczymy go w bezpiecznej przystani — mogą sobie potem inni brać po nas władzę. My spełnijmy swój obowiązek do końca.

Ten nowy a przecież stary obóz Piłsudskiego ma być wolny od wszelkich kompromisowych kreatur, szukających koryta i menażki. Ma być zorganizowany pod swoim własnym sztandarem, z otwartą przyłbicą. Sprawę trzeba postawić wyraźnie, bez zasłon dymnych tak, aby nikt nie miał wątpliwości, że my, Piłsudczycy, możemy się obejść bez politycznych hinterlandów, sojuszów i wasalów. Ale właśnie dlatego nie mogą nas dzielić sprawy drugoplanowe, ani nomenklatury, ani personalia.

A więc, Piłsudczycy! Wy w łaskach i wy bez łask, wy uprzywilejowani i wy wykończeni, wy zadowoleni i wy zgorzkniali! Stoi przed Wami zadanie, które musicie podjąć: ochronić dzieło Komendanta pod przewodem Wodza, którego On sam powołał.

Najwyższy czas wyjść z impasu, zerwać z fikcjami i dostrzec prawdę. Tylko my mamy siłę na miarę dzisiejszej chwili. To obowiązuje.

Piłsudczycy, naprzód!

Ludomir Skórewicz.

RADIO

Głos Polski

W czasach gdy wzmaga się znaczenie propagandy na terenie międzynarodowym, radio odgrywać zaczyna podwójną rolę — z jednej strony znaną już nam dobrze rolę mówionego dziennika połączonego z teatrem i koncertami, jednym słowem ważnego czynnika własnego życia kulturalnego narodu, z drugiej zaś strony spełnia ono nową funkcję międzynarodową, będąc jakgdyby głosem, którym naród przemawia do świata.

Druga ta rola jest zupełnie odrębna od pierwszej i stawia przed radiofonią nowe zadania, wykraczające daleko poza jej dotychczasowy zakres działalności. Oczywiście przemawiając do całego świata trzeba stać się poliglotą, to też wszystkie radiofonie europejskie oddawna już wprowadziły liczne audycje w językach obcych. Pierwsi celowali w nich przedstawiciele Kominternu, którzy od lat posługują się w szerokim zakresie radiem w swojej akcji propagandowej. Następnie Włochy i Niemcy rozpoczęły prowadzone nieraz na wielką skalę kampanie propagandy radiowej. Za przykład może posłużyć słynna kampania niemiecka prowadzona przed Anschlussem, celem jego przygotowania drogą wpływania na opinię austriacką. Wprawdzie posługiwano się tu językiem niemieckim, lecz była to jednak typowa robota radiowa dla zagranicy.

Wreszcie nawet W. Brytania, zawsze odnosząca się z niechęcią do propagandy, zdecydowała się na wprowadzenie audycji w językach obcych, poświęcając im aż pół godziny dziennie w wczesnych godzinach wieczornych na wszystkich rozgłośniach lokalnych Brytyjskiego Radia.

Polskie Radio nie pozostało w tyle i prowadzi już dzisiaj cały szereg audycji w obcych językach, a więc niemieckim, angielskim, francuskim, włoskim, węgierskim, czeskim i portugalskim. Zakres jak widzimy bardzo szeroki i podziwiać należy wysiłek organizacyjny, który pozwolił w krótkim czasie stworzyć tak poważny aparat propagandowy.

Zadanie jest tym trudniejsze, iż w każdym języku należy podawać materiał dostosowany do charakteru prawdopodobnych słuchaczy, stosunków istniejących między danym krajem a Polską oraz całego szeregu innych czynników. Oczywiście nie chodzi tu o zwykłe przetłumaczenie na siedem języków jakiegoś jednego tekstu polskiego, lecz o zróżniczkowanie audycji zagranicznych wedle odmiennych celów jakim mają one służyć.

Oczywiście na czoło wysuwają się audycje niemieckie, usiłujące prostować część przynajmniej niesłychanych oszczerstw, jakimi obsypuje Polskę prasa ministra Goebbelsa, oraz angielskie, mające na celu informowanie W. Brytanii o jej dotychczas mało znanym nowym sojuszniku. Audycje w językach tych nadawane są przez Raszyn oraz stacje zachodnie, kilka razy tygodniowo. Zadania audycyj czeskich są jasne, bowiem okupacja niemiecka pozbawiła Czechów w zupełności dostępu do prawdziwych wiadomości z świata, zaś nie wszyscy z nich rozumieją audycje francuskie lub angielskie z zachodu. Równie zrozumiałe, choć nie identyczne, są zadania audycji włoskich i węgierskich, nadawanych raz na tydzień. Względem Włochów obowiązuje nas wzajemność, bowiem zaszczycają oni Polaków audycjami polskimi o nastawieniu wybitnie „osiowym".

Zupełnie osobny dział stanowi prasa stacji krótkofalowych, dla Europy i dla Ameryki. Krótkofalówki europejskie posługują się, poza polskim językami francuskim i angielskim, zaś amerykańskie angielskim i portugalskim, — ze względu na Brazylię. Warto zaznaczyć iż między audycjami angielskimi dla Ameryki i dla Anglii istnieje także pewna różnica, zarówno ze względu na częściowo odmienny zakres zainteresowań tych krajów, jak i na zupełnie inną wymowę używaną w każdym z nich, pomimo posługiwania się zasadniczo tym samym językiem.

Obraz akcji propagandowej zagranicznej Polskiego Radia dopełniają koncerty dla zagranicy, oraz transmisje z Polski do innych krajów drogą kablową. Ostatnio naprzykład bawił w Polsce przedstawiciel Brytyjskiego radia, który wygłosił kilka odczytów o Polsce z studiów Polskiego Radia, dla stacji angielskich. Jeszcze inną drogą jest przesyłanie zagranicę pogadanek o Polsce nagranych w obcych językach przez polskich prelegentów. W niedzielę 2-go lipca radio londyńskie nadało odczyt o polskim Centralnym Okręgu Przemysłowym, nagrany na płytach przez Polskie Radio i wysłany do Londynu pocztą lotniczą.

Jak widzimy z tego krótkiego przeglądu, głos Polski słyszany jest daleko i szeroko dzięki pracy Polskiego Radia, które w tym wypadku wykracza poza swoje ustawowe obowiązki, obejmujące jedynie dostarczanie audycji własnym abonentom. Radio staje się w ten sposób więcej niż instytucją społeczną, — reprezentuje ono naród polski względem innych narodów, spełniają doniosłą rolę polityczną i międzynarodową.

T. L.

NA SMUTNO I NA WESOŁO

Białowieża i Gdańsk

P. min. Beck stwierdził w swoim przemówieniu sejmowym, że szanujące się państwo nie robi koncesyj jednostronnych i że za każde swoje ustępstwo musi otrzymać coś wzamian.

Wysuwając żądanie aneksji Gdańska Rzesza Niemiecka, jak wiadomo, nic konkretnego w zamian nie zaofiarowała. Kto wie jednak, czy nie spotkamy się wkrótce z pewną propozycją w tym względzie. W swoim czasie, gdy p. feldmarszałek Goering polował w Białowieży i ustrzelił z dubletu parę pięknych rysi, jedno z pism humorystycznych włożyło mu w usta następującą sentencję:

„Oddam tobie rysiów zwanzig — wezmę wzamian mały Danzig...".

Wziąć to z pewnością nie weźmie — ale może naprawdę zaproponuje?

Dogmat nieomylności

„Wieczór Warszawski" podaje następującą wiadomość:

BERLIN, 27.6. Nakładem wydawnictwa berlińskiego Mittler und Sohn ukazała się książka, napisana przez marszałka Hermana Göringa. Tytuł tej książki „Odbudowa narodu" (Aufbau einer Nation).

Göring pisze w niej m. in. „Skoro katolik jest przekonany O NIEOMYLNOŚCI PAPIEŻA we wszystkich sprawach religijnych i obyczajowych, my, narodowi socjaliści, oświadczamy, że mamy najgłębsze przekonanie, że nasz Führer we wszystkich sprawach, politycznych i innych, dotyczących interesów narodowych i społecznych Niemiec JEST NIEOMYLNYM".

W polskiej gwarze szkolnej istnieje takie wyrażenie: „kuku na muniu". Czy Państwo nie wiedzą przypadkiem, co ono oznacza?

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Złota 35 m. 31. KONTO PKO. 23.511.
PRENUMERATA: rocznie 3 zł., półrocznie 1,50.

Wydawca i Redaktor: Witold Ipohorski-Lenkiewicz

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.